

Jacek Hugo-Bader
Dzienniki kołymskie



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Jacek Hugo-Bader

Dzienniki kołymskie



Wołowiec 2012

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl,
tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa tel./fax +48 18 351 02 78, tel.
+48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, mtm Firma ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa
tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.pl ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-
mail: info@d2d.pl

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografia na okładce oraz fotografie wewnątrz tomu © by JACEK HUGO-
BADER

Copyright © by JACEK HUGO-BADER, 2011

Redakcja JUSTYNA WODZISŁAWSKA

Korekty ZUZANNA SZATANIK, MAGDALENA KĘDZIERSKA / D2D.PL

Projekt typograficzny, redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

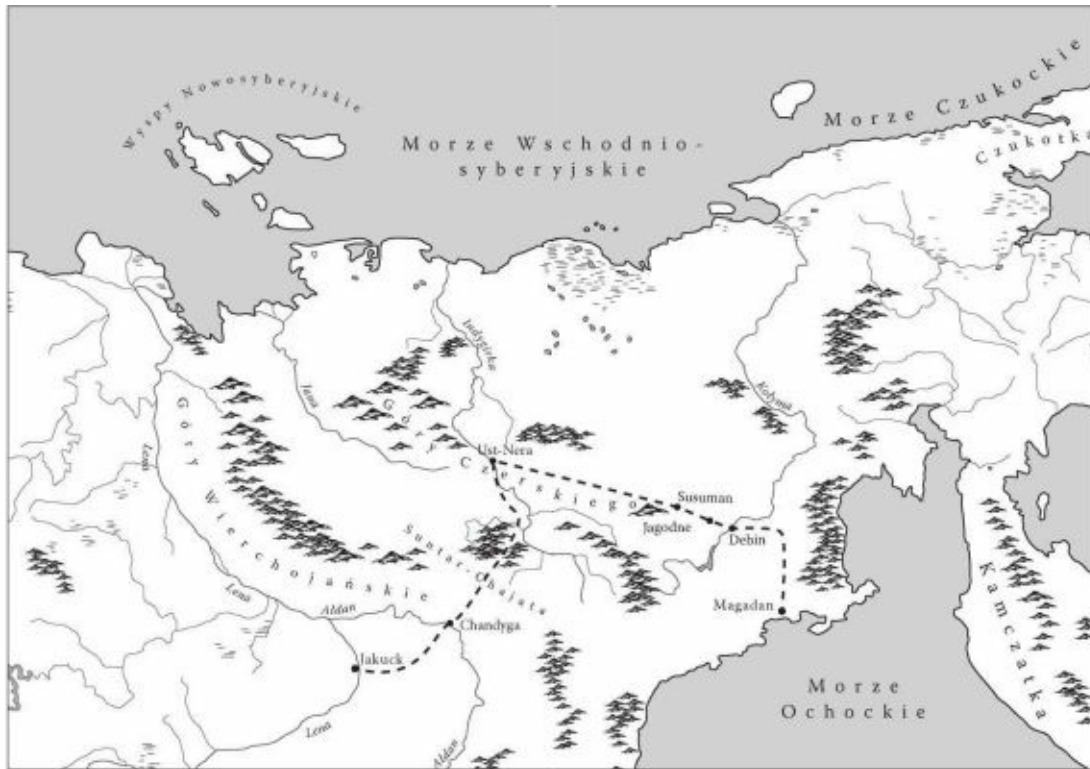
ISBN 978-83-7536-381-4

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Annie i Tomkowi



Szamanka Dora – zamiast wstępu

Nieskończenie długim charknięciem zaciąga gila do gardła. Co z tym zrobi? – zastanawiam się. Wypluje do popielnicy, fikusa, do kosza na śmieci? A może połknie?

Ediij Dora wstaje i rozgląda się, pokazuje coś na migi, więc nasza tłumaczka (duchy pozwalają Dorze mówić tylko po jakucku) podaje jej usłużnie kartkę papieru. Nauczycielka robi rożek i wypluwa do niego wielkiego, zielonego gluta, który na długo jak gorący sopel zawisa u jej dużych warg.

To dobra okazja, żeby się wytłumaczyć. W sprawie konstrukcji i okładki tej książki. Że trzy części, ciemnozielony kolor, złote litery... Wszystko to Ediij Dora widziała oczami duszy już rok temu.

Według dowodu osobistego nazywa się Fiedora Innokientiewna Kabiakowa. Ediij to szamanka, nauczycielka, uzdrowicielka, a dosłownie – „Starsza Siostra” Miała dwadzieścia lat, a już w Jakucji tak ją nazywano. To bardzo chwalebny, niemal religijny tytuł, którym człowieka obdarza lud.

Piszę dopiero piąty akapit tej książki, ale już mam obgadana z wydawnictwem sprawę tej zieleni i złota. Trochę kręcili nosem, że na oko będzie jak Koran, ale dali się przekonać. Że Ediij Dora wie lepiej. Ona wie wszystko. Nawet to, jak i kiedy umrę, jakie drzewo rośnie przed moim domem, co myślę i kiedy książka ma być gotowa. Dokładnie dwanaście miesięcy po naszym spotkaniu, zatem w grudniu 2011 roku. A gdyby robota mi nie szła, mam wyjść z domu i nakarmić to moje drzewo. Jej duch w nim będzie. Albo jeszcze lepiej pojechać nad mateczkę rzekę, która przepływa przez moje miasto, i też ją nakarmić. Kawalek chleba, mięsa, trochę masła i mleka pozostawione w ofierze na brzegu i będzie się lekko pisać.

– Ale radzę wam, żebyście pisali jak najprościej – mówi Dora. – O mnie też. I niedużo. Bo niewiele rozumiecie.

Po godzinie rożek Nauczycielki pełen jest zieleni.

– Wiem, że cały czas zastanawiacie się, czy jestem chora – Dora czyta w moich myślach. – To, co trzymam w ręku, zebrałam z ciebie. To są twoje złe

doświadczenia z podróży, którą właśnie skończyłeś, złe wspomnienia, źli ludzie, niemoc, choroby, wódka, strach, zmęczenie... Oczyszczałam cię. I wszystkich ludzi, którzy przeczytają twoją książkę i nie sprawi im to przyjemności. Zobacz, ile się tego zebrało.

Na koniec praktyczna rada ode mnie. Wcale nie trzeba tej książki czytać od deski do deski. Żeby odbyć ze mną całą podróż, wystarczy przeczytać tylko Dziennik, zatem co drugi, trzeci rozdział. Ale najlepsze, co mnie w niej spotkało - to znaczy ludzie i zawartość rożka z glutami - opisane jest w pozostałych rozdziałach.

Część I

Syndrom milczenia

Sierp i młot, młot i sierp

To jest nasz radziecki herb.

Chcesz, to siej, a chcesz, to kuj.

Tak czy siak dostaniesz chuj.

- Bałeś się? - pytam.

- Nic a nic. Przecież ja umieram.

Wybucham śmiechem jak głupi, ale się nie obraża, bo wiele osób tak reaguje na stres. I ja czasem tak mam. Dla usprawiedliwienia dodam, że właśnie przypomniał mi się stary czeski czy też polski kawał o Pepiku Vondráčku, który, gdy rzecz szła o komunistach, mawiał: „A ja se nebojim, ja mam raka”.

A Iwan Iwanowicz ciężko chore serce i termin, to znaczy kilka tygodni, a może miesiące życia przed sobą. Tak mówią lekarze. Umiera, więc nie bał się jako jedyny i tak samo jak ja nie urznął się jak nasi towarzysze. Nie wiedziałem, że powinienem był, że przede mną siedem najstraszniejszych minut w moim życiu, że będę się bał nawet bardziej niż tego dnia, kiedy w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej Rosjanie brali miasto Szali, a ja nie zdążyłem zwać z cywilami.

Skąd wiem, że to tylko siedem minut? Bo włączyłem dyktafon, kiedy wsiadałem na naszą maleńką łódeczkę. On mierzy długość nagrania. Wyłączyłem go na drugim brzegu. Teraz słyszę, że wszyscy milczeli jak zakłęci, kiedy niesione prądem zwały lodu z przeraźliwym hurgotem napierały na metalowe burty, silnik wył jak opętany na najwyższych obrotach, a ja pękałem ze śmiechu.

Tak wyglądała nasza przeprawa przez potężną syberyjską rzekę Ałdan w ostatnich dniach października zeszłego roku.

Ale dlaczego ja o tym opowiadam? Ano dlatego że wydaje mi się, że trzeba mieć raka, ciężko chore serce albo głowę, żeby tu żyć. Nie mieć naprawdę nic do stracenia albo innego wyjścia, żeby osiedlić się na biegunie okrucieństwa. Tak ludzie mówią i piszą o Kołymie. Innym razem mówią o największym koszmarze dwudziestego wieku, najstraszniejszej, przeklętej albo najdalszej wyspie Archipelagu Gułag, jego lutym biegunie, ruskiej Golgocie, białym krematorium, arktycznym piekle, mroźnym koncłagrze bez pieców, czy też, nie przymierzając, maszynie do przemysłowego mielenia mięsa i kruszenia kości.

A wiecie, że ludzkie mięso w smaku podobno jest takie samo jak reniferowe - bardzo delikatne, chude i lekko słodkie? Nie wiem, skąd miejscowi to wiedzą. Domyślałem się, że to opinia przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówi się, że połowa obecnych mieszkańców Kołymy to potomkowie zeków, byłych więźniów łagrów. Drugie albo trzecie pokolenie. Zek (w radzieckich dokumentach zapisywane jako z/k) to skrót od słowa zakluczonnij - zamknięty, więzień po prostu. Kiedy uciekali z obozów, niekiedy brali ze sobą w tajgę słabszego kolegę.

To były „ucieczki z kanapką” albo „z krową”, która sama podążała za kimś, kto wreszcie ją zjadał.

Ale wracając do mięsa: to pewnie z powodu podobieństwa smaków miejscowe niedźwiedzie są tak piekielnie niebezpieczne. Renifery to ich przysmak, a człowiek to dla nich renifer, który nie potrafi biegać, ofiara bez rogów, zwyczajny pierdoła, łatwa zdobycz. Raz taki miszka popróbujecie człowieka i się rozsmakuje. Już mu się nie będzie chciało uganiać po górach za reniferami i łosiami, nie będzie zbierał jagód, borówek i jarzębiny, wypuszczał się na grzyby i do śmietników. Będzie trzymał się Traktu Kołymskiego, osiedli ludzkich, obozowisk poszukiwaczy złota.

Ileż ja historii o nich słyszałem! Choćby o górniku z Susumanu, który stał na drodze, bo złapał gumę, a kiedy zobaczył niedźwiedzia, zamknął się w samochodzie. Zwierzak jak szajbus rozpruł blachę na dachu i wyciągnął swoją ofiarę jak świńską tuszonkę z puszki. Takie niedźwiedzie nazywają szatunami. To po rosyjsku znaczy „włóczęga”, ale na Kołymie to słowo jest zarezerwowane tylko dla niedźwiedzi szaleńców, ludojadów.

W ostatniej dekadzie najgłośniejsze było o szatunie, który wiele lat grasował wzdłuż Traktu Kołymskiego w Górach Wierchojańskich. Ogromny jak czołg samiec, prawdziwy potwór, żywa machina. Był znaczny, bo chodził ze stalową pętlą na szyi.

Na Kołymie na niedźwiedzie stawiają wnyki i ten nasz przed laty wpadł w takie. Myśliwi przyszli po kilku dniach. To był ojciec i dwaj jego synowie. Niedźwiedź wisiał na pętli w ogromnym dole, który wrył pazurami, walcząc desperacko o wolność. Żył jeszcze. Myśliwi usiedli i zapalili. Z przyjemnością gapili się na konwulsje zwierzaka. Smakowali jego męczarnie. Potem rozpalili ognisko, postawili w kociołku wodę na herbatę, pojedli suszonej ryby. Wreszcie stary powiedział do synów, żeby podali mu karabin.

Z kilku kroków wymierzył w kark olbrzyma i strzelił.

Trafił w stalową pętlę, którą zwierzak przydrutowany był do drzewa. Niedźwiedź rozerwał go na strzępy, potem dopadł tego, który podał ojcu karabin. Tak został szatunem. Drugiemu chłopakowi udało się uciec.

Wiele lat wierchojański szatun polował na ludzi, a ludzie na niego. Nawet za pomocą śmigłowców.

- Ja spotkałem go przy Ruczaju Szamana - opowiada Jura. - Wyszedłem z szoferki, żeby ze źródła nabrać wody na herbatę, ale po drodze na chwilę wlałem na beczkę, żeby przed nocą sprawdzić, czy pokrywy dobrze zamknięte. Już chciałem skoczyć na dół, kiedy w ostatniej chwili zobaczyłem, że tam na mnie czeka. Pojawił się nagle i cicho jak duch. Od razu go poznałem.

Jadę z Jurą jego kamazem cysterną z Ust-Nery do Chandygi. To najtrudniejszy, najbardziej odludny, najmniej uczęszczany odcinek Traktu Kołymskiego. Mój szoferak jak zawsze zatrzymuje się na noc przy Ruczaju Szamana na 1459. kilometrze Traktu w Górach Wierchojańskich.

- Koniec kwietnia - opowiada dalej Jura i nalewa do kubków wódki - w nocy temperatury spadają do kilkunastu stopni poniżej zera, a ja w jednym sweterku, bez rękawic i czapki, no bo po tę wodę wyskoczyłem tylko na chwilę. Przechodzę na szoferkę i z dachu próbuję sięgnąć do klamki, żeby od góry wślizgnąć się do środka, ale on tylko na to czeka, staje na tylnych łapach i stara się mnie złapać. Jest ogromny, bez trudu dosięga do krawędzi dachu. Dobrze wie, że wcześniej czy później będę musiał zejść.

Jura znajduje w kieszeni zapalniczkę, podpala plastikową butelkę na wodę, ale ten niedźwiedź nie boi się nawet ognia.

Prawdziwy diabeł, nie zwierzak! Dopiero zbudził się z zimowego snu, jest więc wściekle głodny. Całą noc krąży wokół ciężarówki i czeka, aż człowiek zamarźnie i spadnie w jego łapy. Ma czas, bo na tym odcinku Traktu pojawia się najwyżej kilka samochodów na dobę, ale na pewno nie w nocy.

Dziesięć godzin Jura skacze po dachu swojego kamaza, robi przysiady, pompki, boksuje się z cieniem, ale wreszcie opada z sił i zasypia na mrozie. Od śmierci ratuje go przeraźliwy ryk klaksonu. Widzi potężną ciężarówkę KrAZ, której kierowca próbuje rozjechać niedźwiedzia, ale drapieźnik jest zwinniejszy. Unika zgrabnie zderzaka, więc wybawca zestawia samochody burtami, a Jurij przez jego dach wślizguje się do ciepłej szoferki. Samochód całą noc stał z włączonym silnikiem.

- Ale ręce odmroziłem - mówi i daje mi pustą butelkę. - Na mrozie zawsze zaczynają boleć.

- Jeśli myślisz, że pójde po wodę, to jesteś w błędzie.

- Daj spokój! Dwa lata temu podobno go odstrzelili. Mówią, że trzynaście osób miał na sumieniu.

Każdego wieczoru mojej podróży prowadzę Dziennik kołymski, który razem ze zdjęciami w skróconej formie staram się wysyłać codziennie na portal Wyborcza.pl. Jest tam do dzisiaj, trzeba tylko powiedzieć komputerowi, że chodzi o Dziennik kołymski. Cofnijmy się zatem cztery tygodnie, jak Pan Bóg przykazał, do początku podróży, do soboty 18 września 2010 roku.



Magadan. Połowa września. Na wzgórzach wokół miasta już leży śnieg

Dzień I

Magadan nad Morzem Ochockim

To stolica Kołomy, o której jest już w pierwszym akapicie Archipelagu Gułag, fundamentalnej księdze Aleksandra Sołżenicyna. Ale u mnie nie będzie o Gułagu, obozach, więźniach, głodzie, śmierci, torturach.

Z Magadanu mam ruszyć na Trakt Kołymski, czasem zwany Magistralą Kołymską, a w rosyjskim atlasie samochodowym - federalną drogą Kołyma. Miejscowi najczęściej mówią jednak krótko - Trasa. To jedyna droga na tym ogromnym terytorium, równym - przed licznymi zmianami administracyjnymi - trzeciej części całej Europy. Innymi słowy, to osiem i pół Polski i tylko 2025 kilometrów drogi (z kilkoma małymi odgałęzieniami), która łączy Magadan z miastem Jakuck w Jakucji.

Chcę przebyć tę drogę. To całkowicie niedostępny, dziki, albo raczej zdziczały kraj (trochę jak nasze Bieszczady po drugiej wojnie), z siedzibami ludzkimi co kilkadziesiąt, a czasem kilkaset kilometrów.

Góry. One martwią mnie najbardziej. Bo całkiem białe. Z okien samolotu, którym przylatuję z Moskwy, widzę, że dalej od morza, w głębi Kołomy regularna zima. Przychodzi wcześniej tego roku. To źle. Bardzo niedobrze! Powinna poczekać jeszcze parę tygodni. Może być wielki problem na przełęczach i rzekach, bo wiele trzeba pokonać w bród i na promach. Kiedy woda zaczyna zamarzać, wali kra, promy przestają chodzić i trzeba czekać prawie do grudnia, żeby jechać dalej zimnikami, po lodzie.

Jedyny sposób pokonania tej trasy to autostop. Jazda solidnymi ale topornymi ciężarówkami rosyjskiej produkcji: kamazami, uralami i krazami, zwanymi potocznie błotochodami. Białoruskie liazy też się tu sprawdzają.

Starzy ludzie mówią, że ta droga to najdłuższy cmentarz świata. Policzyłem, że gdyby wszystkie ofiary kołymskich łagrów epoki Stalina położyć jedna za drugą, toby się na niej nie zmieściły.

Policzmy jeszcze raz. 2025 kilometrów to ponad dwa miliony metrów. Dzieląc przez metr i osiemdziesiąt centymetrów, wychodzi milion sto tysięcy chłopów. I dziewczyn. Że wtedy ludzie tacy nie rośli? Zależy kto. Łotysze, Estończycy jak na tamte czasy to chłopcy jak byki, Japończycy, Kałmucy, Tatarzy, i kobiety - dużo niżsi. Nawet gdybym dzielił przez metr i siedemdziesiąt centymetrów, ta liczba

zmieniłaby się dopiero w drugim miejscu po przecinku. Kołyma i tak zabrała pewnie więcej niż milion sto czy dwieście tysięcy istnień ludzkich.

Rzecz w tym, że nikt nie wie ile. Gdyby zrachować wszystkie morskie transporty z ludźmi od wiosny 1932 do lata 1956 roku, wyszłoby nam, że na Kołymę przywieziono ponad dwa miliony więźniów.

Profesor Dawid Semionowicz Rajzman, szef katedry nauk humanistycznych Magadańskiego Instytutu Ekonomii, przez okno swojego gabinetu na ulicy Proletariackiej, na ukos przez skrzyżowanie z prospektem Lenina pokazuje dawny areszt śledczy NKWD zamieniony na archiwum bezpieczeństwa. Akta więźniów leżą tam jak oni kiedyś – w celach, na piętrowych zekowskich narach (pryczach). Potem profesor kieruje palec bardziej na północ i pokazuje wielkie rondo za rzeczką Magadanką z przystankiem autobusowym o nazwie 31. Kwartał, gdzie od 1940 roku był obóz tranzytowy dla trzech tysięcy polskich żołnierzy wziętych do sowieckiej niewoli rok wcześniej. Stąd grupami byli wysyłani do różnych docelowych łagrów, głównie przy kopalniach złota na całej Kołymie.

Ile więc było tych ofiar? Anne Applebaum, arcyskrupulatna dziennikarka „Washington Post”, w swojej książce Gułag (Gułag albo GUłag to skrót od Głównego Uprawnienia Isprawitelińno-Trudowych Łagieriej i Kołonij – Zarząd Główny Poprawczych Obozów Pracy), za którą w 2004 roku dostała nagrodę Pulitzera, pisze o 28,7 milionach przymusowych robotników w Związku Radzieckim, z których według dostępnych już dziś, ale, jej zdaniem, bardzo, bardzo niekompletnych archiwaliów, 2 749 163 oddało życie. Z tego by wynikało, że „współczynnik śmiertelności” w łagrach wynosił dziesięć procent.

Tak zwana „pojemność” 160 obozów Kołymy to dwieście tysięcy ludzi (tyle jednorazowo mogło w nich przebywać). To byli ludzie, których władza radziecka wysłała na daleką Północ na zatracenie i już nigdy nie chciała ich oglądać. Mieli tam wyginąć. Pierwszą zimę z 1932 na 1933 rok przeżył co piąty łagiernik. Komu kończył się wyrok, pod byle pretekstem dostawał następny i wracał w zabor, na wyrobisko, na przodek w swojej kopalni złota albo zostawał przesiedziałym, czyli więźniem, który po odsiedzeniu swojego terminu, swojej pajdy nie był zwalniany z łagru na przykład aż do końca wojny, chociaż nie było nawet jednego ekonomicznego powodu, żeby tam był. Każdą wykonywaną przez więźniów pracę ludzie wolni mogli wykonać taniej i lepiej. Osobliwe, że po rosyjsku słowo „zabor” znaczy także – „ubój” (w sensie bydła, trzody chlewnej). Tak oto NKWD starało się połączyć ze sobą dwa sprzeczne zamierzenia: jak największego wydobycia złota z jak najszybszą eksterminacją ludzi uznanych przez bolszewików za wrogów.

Generał Władysław Anders w książce Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946 pisze, że według jego ustaleń w latach 1940-1941 na Kołymę trafiło ponad dziesięć tysięcy polskich obywateli. Wśród nich bez wątpienia były owe trzy tysiące jeńców wojennych, o których wspominał profesor Dawid Rajzman z Magadanu. Kiedy generał tworzył swoją armię, Rosjanie zwolnili z kołymskich łagrów 583 osoby. Tylu Polakom udało się tam przeżyć dwa lata, dwie straszne zimy z lat 1941 i 1942. Wśród nich był Ryszard Kaczorowski, ostatni prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie.

Najbardziej według mnie wiarygodny wskaźnik stopy śmiertelności na Kołymie to jedyna 171-osobowa grupa byłych łagierników, która dotarła stamtąd do tworzącej się polskiej armii. To byli pozostali przy życiu polscy żołnierze z kampanii wrześniowej. Prawie wszyscy mieli amputowane po odmrożeniach palce u rąk i nóg. Oto najprawdziwszy wskaźnik śmiertelności! 171 osób z trzech tysięcy! 88,6 procent.

Ale o tym w moich opowieściach nie będzie prawie nic! O tamtych czasach. Jeśli pójdę do tych ostatnich, co żyją, to z chytrości, by tego nie stracić, bo to ostatnia chwila, żeby zapisać, co było im dane przeżyć, doświadczyć. Bo to ludzie wyjątkowi - oni widzieli dno życia, w łagrze przeszli granicę, poza którą rozpada się wszelka dusza. Ale najbardziej będę chciał usłyszeć, co było później, jak z takim doświadczeniem żyć. Jak oni żyli?



Weselisko objężdża miasto. Przystanek na rondzie, gdzie od 1940 roku był łagier dla trzech tysięcy polskich jeńców wojennych. Przeżyło stu siedemdziesięciu jeden żołnierzy

Jadę na Kołymę, żeby zobaczyć, jak się żyje w takim miejscu, na takim cmentarzu. Najdłuższym. Można się tu kochać, śmiać, krzyczeć z radości? A jak tu się płacze, płodzi i wychowuje dzieci, zarabia, pije wódkę, umiera? O tym chcę pisać. I o tym, co tu jedzą, jak płuczają złoto, pieką chleb, modlą się, leczą, marzą, walczą, tłuką po mordach... Gdy ląduję, w aeroporcie pod Magadanem czytam wielki napis: WITAJCIE NA KOŁYMIE - W ZŁOTYM SERCU ROSJI.

Sasza alpinista - drzwi do lasu

Opowieść o Kołymie muszę zacząć od Saszy Szafranowa, który mieszka na placu Komsomolskim z nieczynną wieżą telewizyjną, bo to miejsce, od którego liczone są odległości na Trakcie Kołymskim, a ja chcę go przebyć. To sam środek Magadanu. Zatem pierwsze kilometry Traktu to prospekt Lenina, zbiegająca z placu reprezentacyjna, główna ulica miasta, która za rzeczką Magadanką zmienia nazwę na Kołymskoje szosse, by za rogatkami być już Traktem Kołymskim.

Sasza więc, znakomity miejscowy fotograf, malarz i alpinista razem z żoną, dwiema dorosłymi córkami i trzema szkockimi terierami od piętnastu lat mieszka na zerowym kilometrze tej liczącej ponad dwa tysiące kilometrów drogi. Pozostałe trzydzieści pięć lat życia spędził w głębi Kołymy, na 626. kilometrze w miasteczku Susuman w Górach Czerskiego.

- Tam jest wielkie jezioro Małyk w kształcie bumerangu - opowiada Sasza. - Odkąd pamiętam, na jego brzegach żył dziadek Naumow. Był oszelnikiem, jednym z tych, którzy wybrali samotne życie z dala od ludzi. Szczególnie dużo zrobiło się ich, kiedy od 1953 roku zaczęli wypuszczać z łagrów. Wielu zeków nie wracało do domów, bo nikt tam na nich po latach nie czekał. Inni zaszyli się w tajdze ze wstydu, z rozpaczki albo ze strachu. W zonie (łagrze) narobili sobie wrogów i bali się o życie. Dziadek Naumow był jednym z nich. Ponad pięćdziesiąt lat żył nad tym jeziorem i nigdy się stamtąd nie ruszał. Nawet do lekarza. Mówił, że był obozowym pisarzem i że sam skazał siebie na samotność. Chciał odkupić winy. Wszyscy wiedzieli, że był stukaczem, suką. Donosił na kolegów. I pięknie kaligrafował.

- Co to ma do rzeczy? - pytam.

- Nic. Chcę ci powiedzieć, że miał ponad osiemdziesiąt lat, na kartce żadnej linii, a pisał równiutko linijka pod linijką, wiersz pod wierszem, i to bez okularów. Pisał wiersze. Zwyczajne, rymowane, o nielekkim, samotnym życiu w tajdze. Zawsze kiedy szedłem w góry, zachodziłem do niego. Przynosiłem kaszę, sól, zapalki, naboje, on parzył herbatę.

Dziadek Naumow miał tuzin psów, w tym jednego na trzech łapach. Pies stracił łapę w sidłach, które jego pan stawiał na zające i lisy. Wszystkie jego psy to były łajki, bardzo mądre zwierzaki. Łajki żyją na całej Syberii, ale różnią się nieco wyglądem. Łajki Ewenków są duże i bardzo silne, te hodowane przez Jakutów są mniejsze, ale ostre, kąśliwe i nieprawdopodobnie odporne, wytrzymałe. Całą jakucką zimę, zatem mrozy po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stopni spędzają pod gołym niebem, a najlepsze rękawice Jakuci robią z ich futra.

Sasza ostatni raz widział się z dziadkiem Naumowem na jesieni 2009 roku. Na ścianie jego chaty przybita była deska z komunikatem, żeby nie zakopywać go w ziemi, kiedy umrze, tylko spalić z całym dobytkiem w chałupie. Dziadek mówił Saszy, że nadchodzi jego ostatnia zima.

- Wracam wiosną - opowiada Sasza - a jego chaty nie ma. Pogorzelsko. Zostały tylko zwęglone drzwi z framugą. Jakby drzwi do lasu, w tajgę, w góry. Wędrowni myśliwi byli przede mną. Znaleźli martwego staruszka w łóżku, deskę z ostatnią wolą i psa na trzech łapach, co leżał na piersiach zmarłego. Przeganiali go, a on się nie ruszał. Podłożyli ogień, a ten znowu nic, chcieli wyciągać, ratować, a on na nich z kłami... Jak leżał na dziadku Naumowie, tak razem się spalili.

- Zawsze myślałem - mówię - że te opowieści o bezgranicznej wierności i wspólnej śmierci to mity.

- Ja też. Ale byłem na pogorzelsku zaraz potem. Jeszcze dymiło. Znalazłem stary żelazny kocioł, zebrałem w nim szczątki i zakopałem. Na desce napisałem: „Tutaj pochowany dziad Naumow z psem”. Bo kości psa i człowieka były razem.

- Jak się nazywał ten pies?

- Szary. A może Wierny. Nie pamiętam. A przez te drzwi, co zostały na pogorzelsku, wszyscy zaczęli przechodzić jak przez wrota świątyni. Myśliwi, geolodzy, poszukiwacze złota i ja z towarzyszami, jak idziemy na wspinaczkę, nawet drogi nadłożymy, byle tylko przejść przez nie na dobrą wróżbę.

Pozostałe przy życiu łajki dziadka Naumowa po pogrzebie rozbiegły się po górach. Myśliwi strzelali je wiele lat, bo wyciągały zwierzęta z sideł, a w zimie zbierały się w stado i grasowały jak wilki. Gorzej! Napadały na ludzi, bo się ich nie bały.

Podobna sytuacja, ale na dużo większą skalę, miała miejsce w latach dziewięćdziesiątych. Ludzie masowo zaczęli wyjeżdżać z Kołomy, ale psy zostawiali, zwyczajnie wyganiali za próg, w tajgę. Góry zrobiły się jeszcze mniej przyjazne niż zwykle.

- Dasz wiarę, że tam ciągle są niezdobyte szczyty? - Sasza jest zachwycony. - Nawet dwutysięczniki. Mój zespół ma na koncie siedem takich. Wiesz, co to za uczucie? Wchodzisz na szczyt, na którym nigdy nie było człowieka, i słyszysz w środku, że dusza ci śpiewa. Jako zdobywcy mieliśmy prawo nadawać im nazwy. Największy z naszych był Challenger. 2347 metrów nad poziomem morza, a ostatnie siedemset metrów to jakby ogromny, przepiękny wahadłowiec gotowy do startu. Zdobyliśmy go w 1987 roku, zaraz po tym, jak rozbił się amerykański prom kosmiczny o tej nazwie. Piętnaście lat później zrobiliśmy drugie wejście na szczyt,

a trzeciego do tej pory nikt nie powtórzył. Na północy, w polarnych górach piekielnie ciężko się wspinać. Wysokość jak w waszych Karpatach, ale brak roślinności, tlenu jak w Himalajach na pięciu tysiącach, ogromne lodowce, lawiny nawet w lecie. Pięćdziesiąt metrów pod szczytem Challengeera dopadła nas purga, straszna śnieżna zamieć. Cztery dni trzymała w oblodzonej ścianie, chociaż to koniec czerwca. Ani do przodu, ani się wycofać. Mówią, że alpinista z północy musi mieć w zapasie entuzjazmu na trzy purgi.

- Jedna ile może trwać? - pytam.

- Tydzień.

Sasza w góry najczęściej chodzi sam, nawet na wspinaczkę. Kiedyś wybrał się na liczący 2027 metrów Mardzot, ale ku jego rozpaczy ani na krok nie odstępowała go jego ukochana łajka Jakut.

- Idę się wspinać - mówi Sasza - a ten lezie za mną i nie daje się przegnać. Znika, ale za chwilę pojawia się i tak bawi się ze mną ze dwadzieścia kilometrów przez całą dolinę do podnóża góry. Następnego dnia siadam przed nim, patrzę mu w oczy i całkiem poważnie mówię: „Siedź na dole, nie leż dalej”, a ten merda ogonem i jest cholernie rozbawiony. Idzie za mną prawie pionowym żlebem, a kiedy jesteśmy już na grani, spada siedem, osiem metrów z małej półki i klinuje się w szczelinie między dwiema skalnymi płytami. Zjeżdżam do niego na linie i przez kilka godzin próbuję go jakoś wytaszczyć. Wszystko na nic. Nie ma innego wyjścia.

- Co?

- Muszę go zrzucić. Strącić w przepaść. Przecież zdychałby tam z głodu i pragnienia wiele dni! Wykleszczam go więc i spycham. Na północną stronę, a sam schodzę z grani na południe. Okropne zejście. Dwanaście, trzynaście godzin walki w lodowej ścianie. W dolinie robię igloo na noc, kładę się spać, a po kilku godzinach słyszę szczekanie mojego Jakuta. Dasz wiarę? Przeżył upadek z kilkuset metrów! Potem jakimś cudem jeszcze raz wszedł na grań, zszedł z drugiej strony i mnie odnalazł. Uwielbiałem go, chociaż był humorzasty.

Sasza chodzi w tajgę bez broni, co nie jest zbyt rozsądne, więc kiedy idzie robić zdjęcia, zabiera psa, żeby go bronił przed niedźwiedziami. Łajki świetnie sobie z nimi radzą. Wyczuwają je z wielu kilometrów, wcześniej niż niedźwiedź człowieka, są od niego szybsze, zwinniejsze, piekielnie zjadliwe i hałaśliwe, czego niedźwiedzie nie cierpią.

- Kiedyś idziemy w góry robić jesienne zdjęcia i trafiamy na niedźwiedzi matecznik. Widzę osiemnaście sztuk w zasięgu wzroku. W życiu tyłu naraz nie widziałem. Zebrały się przy potoku i zgodnie łowią ryby, a my spokojnie,

z plecakiem nad głową i duszą na ramieniu koło nich przechodzimy.

- Co z tym plecakiem?

- Trzeba go nieść jak najwyżej, żeby wyglądać na bardzo dużego. Niedźwiedź ma bardzo słaby wzrok, a gdyby miał złe zamiary, być może przeceni wielkość i siłę człowieka i zrezygnuje z ataku. Na szczęście nie zwracają na nas uwagi. A my cały dzień włączymy się po lodowcach i piargach, aż docieramy na piękną, zieloną halę. Ustawiam statyw, wyciągam sprzęt, wybieram żółciutki kwiatek, który będzie na pierwszym planie, mam pstryknąć... A w kadr wchodzi pies i kładzie się na tym kwiatku. Po prostu uwalił się i leży. Gapi się w aparat. „Paszoł ty won! Swołocz!” wymyślam mu od ostatnich. Tak on wstaje i idzie. Idzie w ogóle, całkowicie. Do domu.

- Obraził się.

- A tu noc idzie, a ja jeszcze muszę przejść przez to niedźwiedzie terytorium. Bez psa to pewna śmierć. To rzucam się pędem za Jakutem i dawaj przeproszać, obiecywać, że już nigdy go nie opieprzę, że dobry pies, mądra sobaka, wracaj, nie zostawiaj. Wreszcie stanął, ale nawet na mnie nie patrzy, to biegnę do niego, wyciągam suchary i dawaj przekupywać. Pojedliśmy razem, posiedzieliśmy, przeprosiliśmy się i przeprowadził mnie do domu. Tyle na Kołymie znaczy pies.

- Co się z nim stało?

- Utonął w powodzi. Potok Biereloch w jedną noc wyszedł z brzegu i zalał cały Susuman, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Rodzinę cudem uratowałem na maleńkim wędkarskim pontonie. A jego jak zwykle nie było.

- Może nie było miejsca na pontonie? - zastanawiam się.

- Byśmy wzięli na ręce. Gdzieś się włączył.

- Może jednak się uratował.

- Niemożliwe. Inaczej by wrócił.

Dzień II

Armań. 52 kilometry na zachód od Magadanu

To wymierająca osada rybacka, ale ja mieszkam na kamienistej plaży Morza Ochockiego w baraku inspektora straży rybackiej. Wcale nie chciałem tu jechać, tylko prosto na północ po Trakcie Kołymskim, ale pierwszym kierowcą, który

zgarnął mnie z drogi, jest Andriej, podoficer MCzS, czyli Ministerstwa Czrziejwyczejnych Sytuacji (Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych). To ratownicy, którzy pomagają w przypadkach różnych klęsk, ludzie w mundurach zorganizowani na wojskową modłę. Tylko wsiadam do niego, od razu żałuję, bo Andriusza jest na tęgiej bani. Zwyczajnie zatacza się samochodem na drodze, a jeszcze bierze się do wyprzedzania, bo to chłopak z Kaukazu, z Osetii Południowej, gorąca krew, nie będzie się ciągnął za kimś jak ślamazara, tylko atakuje. Oczywiście, jest w mundurze. Zawsze go wkłada, kiedy po pijaku wsiada do samochodu. To na wypadek milicyjnej kontroli, bo mundurowi – wiadomo – jakoś się dogadają. Andriej namawia mnie, żebym zmienił plany i jechał z nim na ryby. Właśnie kończy się sezon połowu łososi i mają to uczcić z przyjaciółmi.

Przy wjeździe do osady niezwykle obrazek: kobieta o umalowanych na karminowo ustach, w wielkich klipsach do ramion i butach na wysokich obcasach zamiata suche krowie placki na moście. Porusza się z gracją, jakby fruwała. I taka uradowana.

Jest niedziela.

Armań to typowa kołymska osada. Ma bardzo kruchą strukturę społeczną, która opiera się załedwie na pięciu, sześciu rodzinach, małżeństwach z kilkorgiem dzieci i garstką krewniaków. Tylko oni zakładają interesy, kombinują, gromadzą kapitał, tworzą miejsca pracy. Prawie zawsze zaczynają od sklepików, potem zakładają wielkie gospodarstwa rolne, firmy rybackie, skupy runa leśnego, zamrażalnie... Tacy liderzy mogą zebrać wokół siebie nawet półtora, dwa tysiące ludzi, tyle, ile na początku lat dziewięćdziesiątych żyło w Armaniu.

Wystarczy jednak, że wyjedzie jedno małżeństwo, za nimi ich dzieci, potem druga rodzina i rozpoczyna się exodus. Efekt domina. Miejscowe firmy, które żyły w symbiozie, padają jedna po drugiej, wszystko zaczyna się walić, ludzie tracą pracę, a życie sens. W osadzie zostają tylko pijusy, biedacy, ludzie bez energii, inicjatywy. Taki los spotkał Armań. Leży nad jednym z najzasobniejszych mórz świata, a umiera. Z dwóch tysięcy mieszkańców zostało pięciuset, dziesiątki porzuconych domów zamieniają się w ruinę, a miejscowi menelicy prują z nich złom i drewno na opał, chociaż wkoło tajga i drewna w bród.

Takich osad na Kołymie są dziesiątki. Z ponad pięciuset tysięcy mieszkańców, którzy żyli tutaj, kiedy w 1991 roku rozpadał się Kraj Rad, zostało tylko około stu pięćdziesięciu tysięcy w pięćdziesięciu zamieszkanym siedzibach ludzkich.

Świętujemy więc koniec sezonu w baraku inspektora straży rybackiej. Pijemy

wódkę, pożeramy góry czerwonego kawioru, który przed godziną jeszcze pływał, i uchę, rybną zupę na zimno. Gotują ją w wiadrach. Najlepsza jest wczorajsza, a z wkładki najwyżej cenione są łby. Co godzinę-półtorej wychodzimy na plażę i wyciągamy sieć, w której zawsze jest kilka potężnych, ponadpółmetrowych ryb. To kizucze, największe z miejscowych łososi o brzydkich mordach z zakrzywionymi do dołu drapieżnymi dziobami, które w sierpniu i wrześniu wędrują wzdłuż morskiego brzegu do ujścia rzek, potem w nie wchodzi, by w górnym biegu złożyć ikrę i umrzeć. W sieci są zawsze parami, samiec i samica pełna ikry. Ważą około czterech kilogramów, z czego osiemset gramów to przepyszny czerwony kawior. Moi współbiednicy nie wiedzą już, co z nim robić. Z rybami też. Dzisiaj złowili trzydzieści osiem sztuk. Rekordowe mierzą ponad metr, ważą dwadzieścia kilogramów. Inspektor Nikołaj Nikołajewicz Diemczenko, który postawiony tu został do pilnowania porządku prawnego, handluje nimi na potęgę. Za kopiejki. Przy mnie sprzedaje cztery sztuki (ponad piętnaście kilogramów, w tym półtora kilograma kawioru) za dwieście rubli. Za dwadzieścia złotych! W Magadanie na bazarze za sam kawior kupiec dostanie dwa tysiące rubli (dwieście złotych).

Poza kizuczem w kołymskie rzeki w czerwcu wchodzi gorbusza, której kawior uważany jest za najlepszy, lipcowa kita i dwa inne gatunki w małych ilościach. Co drugi rok wędrówki są obfitsze, a co cztery lata ryb jest tak dużo, że ledwo mieszczą się w rzekach, ażby się chciało przejść po ich grzbietach na drugi brzeg. Niepowtarzalny widok.



Czekista Dima i Wania błatnik rzną w durnia

Każdy może połowić tu w swoje sieci. Trzeba tylko za sto rubli (dziesięć złotych) wykupić u inspektora całodzienną licencję. Potem trzeba zapłacić sześćdziesiąt rubli (sześć złociszy) za każdą złowioną rybę. Ofiary stalinowskich represji i weterani wojny co roku dostają darmową licencję na dwadzieścia sztuk, a rdzenni mieszkańcy Kołymy - Eweni, Ewenkowie, Czukcze, Jakuci, Koriacy, Jukagirzy, Itelmeni, Kamczadale i Czuwańcy, których w sumie są tylko cztery tysiące w całym obwodzie - mogą łowić do woli. Pewnie dlatego są bardzo pożądanym towarem matrymonialnym ostatnich lat. Współmałżonek także uzyskuje prawo do nieograniczonego połowu i handlu rybami.

Przyrządzenie kawioru wydaje się bardzo proste. Trzeba wypatroszyć rybę, wydobyć ikrę z błoniastego worka, w którym się znajduje, wrzucić na dziewięć minut do wodnego roztworu soli i odcedzić. Dziewięćminutowy kawior gotowy. Jędrne ziarenka rozkosznie będą pękać na podniebieniu, a ręka sama szukać kieliszka. Kawior ośmiominutowy jest kleisty i zbyt miękki, dziesięćminutowy - zbyt słony. Tajemnica jego przyrządzenia tkwi w roztworze. Ma być prawie nasycony. Owo „prawie” ma wielkie znaczenie. Roztwór ma być taki, by surowe jajko ledwo w nim pływało.

Przed lat poznałem w Petersburgu człowieka, który w 1986 roku brał udział w usuwaniu skutków katastrofy w elektrowni atomowej w Czarnobylu. Ratownicy karmieni byli głównie czerwonym kawiozem z Morza Ochockiego, który zwozili do nich tonami, a pojeni czerwonym winem z Gruzji i Mołdawii. Mój znajomy jest przekonany, że ta dieta uratowała mu życie.

Spis treści

Dedykacja

Szamanka Dora - zamiast wstępu

Część I Syndrom milczenia

Dzień I Magadan nad Morzem Ochockim

Dzień II Armań. 52 kilometry na zachód od Magadanu

Dzień III Magadan

Dzień IV Magadan

Dzień V Magadan

Dzień VI Oła. 30 kilometrów na wschód od Magadanu

Dzień VII Snieżnyj. 21. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień VIII 23. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień IX Stiekolny. 65. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień X Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XI Sokoł. 49. kilometr Traktu Kołymskiego

Część II Syndrom pola walki

Dzień XII W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Dzień XIII W tajdze. 22 kilometry na południe od 438. kilometra Traktu Kołymskiego

Dzień XIV Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XV Debin. 448. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVI Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVII Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XVIII Jagodne. 522. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XIX Burchała. 557. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XX Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXI Susuman. 626. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXII Bolszewik. 663. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIII Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIV Miaundża. 705. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXV Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVI Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVII Ust-Nera. 1007. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXVIII Ruczaj Szamana. 1459. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXIX Chandygą. 1605. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXX Czerkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Część III Syndrom towarzysza podróży

Dzień XXXI Czerkioch. 1781. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXII Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXIII. Czurapcza. 1831. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXIV Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXV Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Dzień XXXVI Jakuck. 2025. kilometr Traktu Kołymskiego

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).